

ZAPOMINAJĄ

Płatki śniegu spadały wciąż i wciąż, pokrywając miasto śnieżnobiałą pierzyną. Piękny widok, który tak radował dziecięce serca, doprowadzał większość dorosłych do rozpacz. Zakorkowane przez remonty ulice, sparaliżowana komunikacja miejska i nieprzebyte, śliskie chodniki sprawiały, że słowa powszechnie uznawane za wulgarne płynęły z wielu ust nieprzerwanym strumieniem. Marcowy nawrót zimy zaskoczył drogowców, gospodarzy domów, a nawet śliczną pogodynkę w telewizji śniadaniowej.

Wydawać się mogło, że jedyną osobą spodziewającą się takiego obrotu sprawy była Panna M.

– Oj, głupiutcy jesteście, głupiutcy – nuciła raz głośniejsz, raz ciszej. Lubiła śpiewać. – Nic się nie uczycie. Jakby zima nie przychodziła co roku. Czasem w marcu zetnie wodę w garncu. Nic nie pamiętacie, nic.

Cztery warstwy odzieży noszonej na cebulkę oraz dwie pary wełnianych skarpet w górskich butach sprawiały, że Panna M. nie czuła zimna. Rażno maszerowała przez zaśnieżone ulice. Pracy było co nie-miara, a ona tylko jedna.

– Zima jest uczciwa, mrozi bogatego i biednego. Głupiego i mądrego. Każdemu po równo – wyjaśniała tłumowi sfrustrowanych pasażerów, czekających na spóźniony autobus. – Tylko ona jest sprawiedliwa.

– Zamknij się, ty stara wariatko. – Zziębnięty mężczyzna z wściekłością rzucił pustą puszkę po piwie na ziemię. Z jego ust buchał odór przetrawionego alkoholu. – Kurwa! Znowu się do roboty spóźnię. Gdzie ten autobus!

– Zostało ci tylko siedem lat życia – odpowiedziała Panna M., a jej oczy zdawały się coraz bardziej ciemnieć. – Od ciebie zależy, jak je przeżyjesz. I czy będzie to tylko siedem, czy aż siedem lat.

Ruszyła dalej, bo nie lubiła widzieć ich twarzy, gdy poznawali prawdę. Wyglądali wtedy jak małe, przestraszone zwierzątka.

– I tak zaraz zapominają – ponownie zaczęła nucić. – Zapominają, zapominają, zapominają...

Uwielbiała, gdy śnieg pokrywał chodniki, maskując choć na chwilę ich szachową naturę. Nie musiała wtedy chodzić ostrożnie, tak by nie nastąpić na żadną z linii. Gdyby tylko ludzie wreszcie zrozumieli, że każde takie nadeptnięcie skraca życie o pełną minutę, może przestaliby się wreszcie śmiać. Choć i tak wołała śmiech niż zażenowanie czy współczujące spojrzenia.

Musiała się spieszyć – cel był w tak kiepskim stanie, że w każdej chwili mogło stać się coś złego. Zazwyczaj unikała Ostrowia Tumskiego, wyspy pełnej kościołów, lecz tym razem nie miała wyboru. Na szczęście obfite opady śniegu sprawiły, że uliczki opustoszały. Mogła w spokoju skupić się na poszukiwaniach.

Niektóre cele dobrze się ukrywały. Lata, a nawet dekady życia z ciężarem nauczyły ich, że nikogo nie obchodzi cudze cierpienie. Lepiej nic nie mówić, niż mieć poczucie winy za burzenie spokoju najbliższego otoczenia. Na dłuższą metę nikt nie lubi marud, smutasów, przegranych. Szara codzienność była zbyt trudna, żeby zajmować się problemami, których i tak nie dało się rozwiązać. Lepiej ignorować, czasem rzucić grosz pocieszenia i szybko uciec. Cierpiący dobrze o tym wiedzieli. Udawali więc normalne życie, dzień za dniem, godzina za godziną. Jednak w końcu balast stawał się tak wielki, że trzeba było coś zrobić, choćby i złego. Ich właśnie szukała.

Niemal ją przegapiła. To, co w pierwszej chwili wzięła za kupkę przysypanych śniegiem szmat, okazało się człowiekiem. Gdy chwyciła za lodowatą rękę, wiedziała, że ma mało czasu. Zdażyła w ostatniej chwili.

– MÓW. – Głos sprawiał, że mówili. Jedni wolniej, drudzy szybciej, ale potok słów w końcu płynął.

Opowieść nie różniła się od wielu podobnych. Dziewczynka z dobrej rodziny, czwarta z kolei, lecz nie najmłodsza. Ojciec był sołtysem niewielkiej, ale bogatej podwrocławskiej wsi. Matka od zawsze zajmo-

wała się domem. Pieniędzy nigdy nie brakowało, choć ojciec nieprzerwanie narzekał na złodziejskie państwo, okradające uczciwych rolników. Sam, rzecz jasna, unikał płacenia podatków jak ognia. W kościele zawsze zjawiali się pierwsi, wychodzili zaś jako ostatni. Wszyscy zazdrościli im takiego życia. Nawet jeśli czegoś się domyślali, woleli nie wiedzieć. A koszmar trwał lata. Na początku myślała, że do wszystkich córek w nocy przychodzą ojcowie. Miały tak siostry, potem przyszła kolej na nią. Nienawidziła tego z całego serca, ale on mówił, że to kara za grzech pierworodny. Że dzięki temu może, ale tylko może, nie pójdzie do piekła. Że jest pełna brudu i to wszystko jej wina.

Najgorsze miało się jednak dopiero wydarzyć.

– MÓW – powtórzyła Panna M. – NIE PRZERYWAJ. PO PROSTU MÓW.

Miała wtedy jedenaście lat, zły sen trwał już trzeci rok. W końcu zrozumiała, że dzieje się coś bardzo złego, że potrzebuje pomocy. Mimo paraliżującego wstydu odważyła się porozmawiać z najbliższą osobą. Gdy ręka matki uniosła się w górę, a na twarz spadł cios, pierwszy z wielu, coś w niej umarło. Nie chodziło nawet o ból, przynajmniej nie fizyczny, tylko o ten wzrok. Oczy matki wyrażały czystą nienawiść. Nikt, nawet potwór nachodzący ją w nocy, nigdy tak nie patrzył. Takich oczu nie dało się zapomnieć. Takie oczy mówiły małej dziewczynce, że jest nikim, że nie ma prawa do szczęścia. Lepiej, żeby umarła, bo i tak nikt jej nie zechce, nikt nie pokocha.

– JUŻ PRAWIE KONIEC, MÓW DALEJ.

Ktoś, kto nie kocha samego siebie, szuka miłości gdzie indziej. Wybrała Boga, z nadzieją, że służba w zakonie zmyje jej grzechy. Że gdzieś tam czeka niebo, nawet dla takich jak ona, niekochanych, potępionych za życia. Ale po raz kolejny okazało się, że hodowane od małości ofiary przyciągają drapieżniki. Starsza zakonnica wiedziała, do której celi przychodzić w nocy. Które bezwolne młode ciało da jej radość. Kto mimo cichych i rozpaczliwych szlochów nie stawi oporu.

Z trudem poukładany świat znów się zawalił, koszmar przeszłości splątał się z horrorem teraźniejszości. Przyszłości nie było. Wybór pozostał tylko jeden. Pierwszy i ostatni bunt. Przeciw ludzkim i boskim prawom.

– Już dobrze, dzieciatko, już dobrze. – Panna M. otuliła swą kurtką wyziębioną zakonnicę. – Co miałam zjeść, to zjadłam. Teraz będzie ci lepiej. Wszystko zacznie się rozmywać, tracić kontury. Ten leniwy stary dureń, Czas, wreszcie weźmie się do roboty. Z każdym dniem będzie lepiej. Tylko troszeczkę. Ale troszeczkę lepiej to zawsze lepiej niż troszeczkę gorzej, prawda, dziecino?

Ruszyła dalej, pracy nigdy nie ubywało. Kwaśny posmak w ustach sprawił, że się zatrzymała i zaczęła przeszukiwać kieszenie. Atak zgagi był bardzo silny, ból zakonnicy okazał się wyjątkowo ciężkostrawny. Na szczęście garść tabletek złagodziła objawy na tyle skutecznie, że Panna M. dała radę ruszyć przed siebie.

– Jak byście sobie beze mnie poradzili? – pytała przechodniów. – Macie takie delikatne umysły, miękkie jak ślimaki. Oj, nie lubicie słuchać prawdy, nie lubicie. I tak zaraz zapomnicie. Stara wariatka, mówicie, myśląc, że nie słyszę.

– I co z tego, że gadam do siebie? – z nagłą zapytała młode dziewczyny, które zziębniętymi palcami zawzięcie przesuwają po ekranach smartfonów. – Wy i tak nie słuchacie. A jak słuchacie, to zapominacie. Zirytowane twarze osób, nagle wyrwanych z cyfrowego transu, stanowiły dla Panny M. nagrodę. Lubiała patrzeć, jak wgapieni w złudny technologiczny świat ludzie nagle dostrzegali otaczającą ich rzeczywistość. Przecież tak wiele im umykało, tyle piękna przegapiali, ślepiąc na kurczowo trzymane w dłoniach szklane ekraniki. Czy nie lepiej łapać wirujące wokół płatki śniegu? Co, jeśli są dwa identyczne? A może policzyć wszystkie zmarszczki na twarzy rozmówcy? Podobno jest ich tyle, ile lat. Dlaczego by nie pogadać na ulicy z nieznanym o tym, jak spędził dzień? Przecież to czysta przyjemność!

Próbowała tłumaczyć, jednak one nie słuchały. Wznosiły oczy do góry i teatralnie wzdychały. Chwilę później pochłaniało je wirtualne, fałszywe życie. Panna M. westchnęła zmartwiona. Od zarania dziejów

młodzi zawsze wiedzą lepiej, nie słuchają starszych, mądrzejszych. Machnęła ręką i ruszyła dalej.

Znów to poczuła. Nie miała za dużo czasu. Na szczęście liceum było tuż za rogiem.

Ledwie zdążyła, chłopiec prawie wszedł do środka.

– Czekaj! – krzyknęła. – Stara już jestem, nie dogonię cię.

– Kim pani jest? O co chodzi? Ojciec panią przysłał? – Nastolatek kurczowo trzymał plecak.

– MÓW! – zażądała, chwytając go za ramię.

Chłopak opierał się GŁOSOWI zaskakująco długo. W końcu uległ. Wszyscy ulegali. Zaczął mówić.

Śnieg pokrywał ich grubszą i grubszą warstwą. Z każdą chwilą przypominali bardziej dwa bałwany niż ludzi. Słowa płynęły. Opowieść była poszarpana, bolesna, niemal niezrozumiała.

Samotność w domu, samotność w szkole, samotność w każdej sekundzie życia. Ojciec policjant, żyjący tylko dla kolejnych awansów. Surowy i nieobecny jednocześnie. Matka, radca prawny, zawsze zapracowana, planująca co do minuty drogę dla jedynaka. Kursy, szkolenia, treningi oraz, rzecz jasna, najlepsze liceum w mieście. A on był po prostu przeciętny, tak zwyczajnie, rozczarowująco przeciętny.

– NIE PRZERYWAJ! MÓW.

Miłość nadeszła niespodziewanie. Ona, piękna, inteligentna, popularna, uśmiechnęła się do niego na korytarzu. Wprawdzie uśmiechała się do wszystkich, ale czuł, że do niego jakoś inaczej, cieplej. Znikły gdzieś czernie i szarości, wszystko rozkwitło kolorami.

Zaczął pisać wiersze. Mnóstwo wierszy. Słuchał ekliwych ballad. Wreszcie je rozumiał. W głowie rozważał setki scenariuszy wspólnego szczęśliwego życia. Wystarczyło tylko podejść i zapytać.

Tydzień temu ukradkiem wsunął kopertę do jej plecaka. Najlepszy z wierszy, płynący prosto z serca. I grosik na szczęście. Taki był plan. Co mogło się nie udać?

Stał przed nią, a jej piękne oczy wreszcie należały do niego. Ledwie dał radę wydukać:

– Umówisz się ze mną na kawę?

– Nie żartuj tak nawet! Z tobą? Chyba oszalałeś – prychnęła pogardliwie.

– Ale... ok... to nara – nie chciał nic mówić, ale strzępy słów same opuszczały jego usta.

– Hej, zapomniałeś czegoś. Łap.

Nie wiedział, czemu próbował złapać tę przeklętą jednogroszówkę. Oczywiście nie wyszło. Nigdy nie był dobry w sportach wymagających jakiegokolwiek koordynacji. Wyglądał komicznie, gdy podnosił monetę z ziemi. Czemu to zrobił? Nie pamiętał. Podobnie jak osoby, która zarejestrowała całe zajście komórką. W ciągu paru dni filmik miał już nowe życie. Przeróbki, memy, a nawet kolejne nagrania. Anonimowość przepadła. Stuleja, pedałek, żebraczek – wyzwiska nie miały końca. A każdy film i każda obelga były oznaczane przez ukochaną. Jego pierwszą i jedyną miłość.

– Zjadłam, ile mogłam, ale tego jest po prostu za dużo. – Po twarzy Panny M. spływały łzy, żłobiąc tunele w pokrywającym ją śniegu. – Tyle w tobie bólu, tyle złości. Nie dam rady nic z tym zrobić. Ale wszystko zostaje w twoich rękach. Mam nadzieję, że wybierzesz mądrze.

Poczekala jeszcze chwilę. Liczyła na to, że jednak coś zmieniła. Choć trochę ulżyła. Że nie stanie się to, co może się stać. Głośny huk sprawił, że jej ośnieżone ramiona podskoczyły i opadły. Kolejne wystrzały z broni ojca dobiegały już w rytm oddalających się kroków.

– Kiedyś nas bardziej słuchaliście – chlupała do siebie. Takie chwile były najgorsze, odechciewało się żyć. – I my zjadłyśmy, i wy czuliście się lepiej. Ale wy o nas zapominacie. Coraz bardziej zapominacie. Nawet nie wiecie, ile bólu sprawiacie. Jak ciężko jest z wami żyć. A może wiecie, tylko was to nie obchodzi?

Nie lubiła, gdy zima ustępowała pola wiosnie. Wiedziała, że jej czas się kończy, ale wciąż się łudziła. Może tym razem będzie inaczej? Jednak oni się zbliżali. Z każdym, coraz dłuższym dniem byli bliżej. Przestali już nawet się ukrywać. Nie dalej jak wczoraj młody policjant kierujący ruchem, o szczerzej i dobrej twarzy, wysyczał do niej:

– Myślałaś, że uciekniesz, zimna starucho? Jesteśmy wszędzie. Zawsze cię znajdziemy, zawsze.

Ranek nie przyniósł poprawy. Na drzwiach mieszkania jednego z cierpiących znalazła namalowaną czerwoną farbą szubienicę. Przynajmniej miała nadzieję, że to farba. Ludzie Pana J. bardzo lubili ten znak. Musieli być blisko. Co jakiś czas rozglądała się, czy nikt jej nie śledzi, jednak padający śnieg utrudniał obserwacje. Z drugiej strony ją też trudniej było namierzyć. Pozostało robić swoje, miała jeszcze tyle pracy.

Obskurna klatka jak zwykle śmierdziała moczem, dlatego gramoląc się na trzecie piętro, starała się oddychać jak najpłycej. Zapukała do obdrapanych drzwi, po czym nacisnęła klamkę i weszła do środka. Kobieta leżała w sypialni. Jak zawsze.

– Wreszcie jesteś – wyszczała zjadliwie. – Czekam i czekam. A ty znowu spóźniona! Myślisz, że mi łatwo? Że chcę tak żyć? Nikogo nie obchodzi! Ciebie też!

– MÓW! – Panna M. przerwała serię żali i wyrzutów. Z doświadczenia wiedziała, że kobieta mogła je snuć bez końca.

Nie lubiła tu przychodzić. Z początku myślała, że jest w stanie pomóc. Zjeść co najgorsze, żeby proces regeneracji mógł się wreszcie rozpocząć. Jednak regularne wizyty niczego nie zmieniały. Postanowiła, że to ostatni raz. Mogła wykorzystać ten czas na pomoc tym, dla których jeszcze była nadzieja.

Po raz kolejny słuchała o trudnym dzieciństwie pośród trójki rodzeństwa. O zapracowanych rodzicach, których od skrajnej biedy dzielił tylko jeden miesiąc bez wynagrodzenia. Upokarzanych w pracy i w domu. Ze strachem otwierających koperty z kolejnymi wezwaniami do zapłaty od spółdzielni, gazowni, energetyki, banku. Ona nie chciała tak żyć.

Uciekała z domu. Imponowało jej towarzystwo tych, którzy z kolei nie bali się niczego. Wszystko działało się tak szybko i było takie ekscytujące. Pierwsze narkotyki, prezent od przyjaciółki na jedenaste urodziny. Pierwszy seks niecały rok później. Duma, że osiedlowy dealer wybrał ją sobie na dziewczynę. Chyba faktycznie się zakochała. Ten jeden raz w życiu, na całe trzy miesiące. Potem ją rzucił. Pierwszy areszt, trzynaście lat. Poprawczaka jakimś cudem uniknęła, rozpaczliwy płacz w sądzie poruszyłby nawet kamień. Potem kilka skrobanek. W wieku szesnastu lat zaczęła wreszcie zarabiać prawdziwe pieniądze. Duże pieniądze. Iwan, zwany w półświatku „Groźnym”, dał jej nowe życie. Zabrał ją do stolicy, innego świata. Taksówki wożące do klientów, kokaina zamiast taniego, zanieczyszczonego syfu, ciuchy i kosmetyki z drogich butików w galeriach handlowych.

– Mów dalej. – Panna M. była zmęczona. Zjadanie czegoś wielokrotnie przetrawionego wzbudzało w niej odruch wymiotny.

To nie jej wina, że Iwan ją wyrzucił. Podobno za pyskowanie i humory. Do tego za dużo ćpała, nawet przy klientach. Ale tak naprawdę to wszystko przez te zazdrosne dziwki. Nie mogły ścierpieć jej popularności.

Potem było tylko gorzej. Mimo że ledwie przekroczyła dwudziestkę, spadała do coraz niższej ligi. W końcu musiała wrócić do Wrocławia. Pojawiły się bachory, zabierając smukłą sylwetkę i pozostawiając w zamian obwisłą skórę. Dni płynęły, zmieniali się tylko alfonsi- konkubenci, ojcowie kolejnych małych smrodów. Stale wizytowali ją policja, opieka społeczna i kurator. Tylko narkotyki pozwalały jej nie czuć strachu, wyniesionego jeszcze z rodzinnego domu. Narkotyki i wizyty żwawej staruszki, które przynosiły upragnione, rozkoszne ośpienie.

– Wystarczy. Muszę iść dalej. – Panna M. czuła się chora. Kwaśny posmak zgagi w ustach wciąż się nasilał. Niestety, tabletki już się skończyły.

– Zaczekaj, zrobię herbaty. – Kobieta z trudem stoczyła się z łóżka. Cała się trzęsła, a jej oczy płonęły gorączką. Choć miała trzydzieści pięć lat, wyglądała na pięćdziesiątkę. Wychudzone ciało z nadmiarem skóry speściły liczne ślady po igłach, wszędzie tam, gdzie można było jeszcze znaleźć jakąś zabłąkaną żyłę.

– Nigdy nie zostajesz, kochana. – Uśmiech, w zamyśle pociągający, odsłonił paliki czarnych, popsutych

zębów. – Choć tak ci się odwdzięczę.

– Nigdy niczego mi nie proponowałaś. – Panna M. zaczęła wycofywać się w kierunku drzwi. Miała złe przeczucia. – Pójdę już, mam sporo pracy.

– Zaczekaj! Kawka z przyjaciółką ci nie zaszkodzi. Nie możesz tak pędzić i pędzić.

Panna M. spojrzała na kuchnię. W zlewie piętrzyła się góra brudnych naczyń, pośród których wesoło hasały prusaki. Na blacie stołu, między licznymi butelkami po najtańszych alkoholach, leżały puste opakowania po różnych lekach. Nie było to miejsce zachęcające do poczęstunku.

– Mówiłaś, że zrobisz herbatę, teraz że kawę. Muszę iść. Sama trafię do wyjścia.

– Stój! Nigdzie nie idziesz! – Kobieta wbiła palce w ramię Panny M. Była zadziwiająco silna. – Zostajesz tu, szmato. Oni zaraz tu będą!

Panna M. mocno nadepnęła na bosą stopę narkomanki. Twarda podeszwa górskiego buta sprawiła napastnicze taki ból, że w końcu ją puściła. Przy wtórze najbardziej rynsztokowych przekleństw, jakie słyszała w swoim długim życiu, Panna M. z impetem otworzyła drzwi i wbiegła wprost na zaskoczonych mężczyzn. Miała szczęście: chaos splątanych ciał, próbujących utrzymać równowagę i jednocześnie ją złapać, umożliwił jej przebicie się do schodów. Droga była wolna!

Jeszcze nigdy tak szybko nie przebierała nogami. Tym razem nie pozwoli się złapać! Gdy uciekła na zewnątrz kamienicy, dosłownie o cal od prześladowców, wiedziała, że jej się udało. Trzech mężczyzn w garniturach, drogich wełnianych płaszczach i – co najważniejsze – wizytowych butach na skórzanej podeszwie nie miało szans na ośnieżonym chodniku.

Co powinna teraz zrobić? Ludzie Pana J. byli na jej tropie. Czy mogła ich przechytrzyć? Na szczęście nie wiedzieli, gdzie mieszka, w tym jej jedyna nadzieja. Trzeba zrobić zakupy tak duże, jak nigdy dotąd, potem zamknąć się w domu na miesiąc i nie wyściubiać nosa za drzwi, nawet na milimetr. Cóż, że udręczone dusze będą krzyczeć, coś, że będzie głodna, coraz bardziej głodna. Jeśli wytrzyma, może wszystko się zmieni. Może kolejny rok będzie lepszy. Pan J. wreszcie przegra, zła wiosna nie nadejdzie, a świat ją doceni. To będzie nowy, dobry świat. Czysty, zimny świat.

Lubiła swoje mieszkanko w odrapanej, starej czteropiętrowej kamienicy. Wprawdzie okolica niegdyś cieszyła się złą sławą, ale obecnie „Trójkąt Bermudzki” był całkiem miłym miejscem do życia. Sklepy, które kiedyś prowadziły zeszyty dla swojej regularnej klienteli, stały się jakieś takie międzynarodowe i bardziej anonimowe. Zeszyty zniknęły. Ludzie zrobili się światowi, może tylko nieco bezduszni. Jednak jej to pasowało. Nie chciała spotykać tych, którzy kiedyś ją znali. Od jakiegoś czasu przeszłość była rozmyta, niepewna i pozbawiona emocji. Panna M. nie mogła skojarzyć żadnej znajomej twarzy, głosu czy gestu. Tak jakby czarna dziura zapomnienia pochłonęła całe dekady. Tak wołała. Nie tęskniła za dawnym życiem. Obecne było satysfakcjonujące, pełne nowych emocji i wrażeń, a czasami, niestety, odrobinę irytujące. Nieznajomi pozdrawiali ją na ulicy imieniem, którego nie знаła. Stary telefon stacjonarny wieczorami dzwonił jak opętany. Ktoś co parę dni dobijał się do drzwi. Musiała wtedy mówić, że nic jej nie jest, że wszystko w porządku. Co miesiąc listonosz przynosił niewielką sumę pieniędzy, ale dane na formularzu nie należały do Panny M., tylko do zupełnie obcej osoby. Doręczyciel jednak nie protestował, gdy podpisywała odbiór, a pieniędzy wystarczało akurat na zaspokojenie drugiego głodu. Tego mniej ważnego. Na szczęście im mniej o tym myślała, tym lepiej się czuła. Tłuste kąski niechcianych wspomnień były znacznie smaczniejsze niż strzępy jakiegoś sennego życia.

Z trudem targała torby pełne zakupów. Na szczęście mieszkała naprzeciwko kolorowego dyskontu, więc sił ledwo, ledwo, ale starczyło. Ciężko dysząc, weszła nareszcie do mieszkania i ruszyła do kuchni, by odłożyć sprawunki. Wtem usłyszała dźwięk zamykanego od wewnątrz zamka. Wiedziała już, że nie jest sama. Znaleźli ją. Torby runęły na ziemię. Chwilę później silny cios sprawił, że Panna M. padła obok roz-

sypanych zakupów.

- Zgłosisz, że ją mamy? – Męski głos dochodził gdzieś z oddali.
- Czemu znowu ja? – Drugi mężczyzna był wyraźnie zirytowany. – Wiesz, że nie lubię rozmawiać z Panem J. Czuję się wtedy, jakby coś siedziało mi w głowie i patrzyło moimi oczami.
- Nikt nie lubi. Taka praca, a ty jesteś młodszy. Ja już swoje nameldowałem.
- A jak w innych miastach? – Mężczyzna starał się odwlec to, co nieuniknione. – Poradzili już sobie?
- Tak, jesteśmy ostatni. Przed chwilą skończyły Poznań i Rzeszów. Mieli trochę problemów w Łodzi, ale zdążyli na czas. Nawet Warszawka uwinęła się przed nami. W tym roku ta stara cholera prawie nam się wymknęła. Nie chcę myśleć, co by nam zrobił Pan J., gdyby jej się udało. – W głosie pierwszego z mężczyzn pobrzmiwał nieukrywany strach. – Dzwon już, idioto, mamy jeszcze sporo do zrobienia, zanim to się skończy.

Korek był straszny. Zwały topniejącego śniegu sprawiły, że nawet najprostsze manewry stały się sporym wyzwaniem. Stalowy wąż wił się ulicami, blokując kluczowe arterie. Rozgłośnia nadawała informacje drogowe, nie dając nawet cienia nadziei wściekłym kierowcom.

Zatory, awarie, stłuczki, kolizje, wypadki. Wiadomości krajowe: kłótnie polityków, strajki, zapaść służby zdrowia. Nowiny ze świata: napięcia i spięcia, wojenki i kryzysy finansowe. Wtem komunikat specjalny:

Wracamy do bulwersującej sprawy tajemniczego zgonu w naszym mieście. Właśnie otrzymaliśmy nowe informacje. Przypomnijmy: dziś rano w rzece Olawa, przy kładce do Lasu Rakowieckiego, odnaleziono niezidentyfikowane zwłoki starszej kobiety. Grupa wagarowiczów z pobliskiego liceum natknęła się na ciało zaplątane w przybrzeżne chaszczę. Wprawdzie zdjęcia zrobione przez licealistów zostały już usunięte z portali społecznościowych, ale udało nam się dotrzeć do jednego ze świadków zdarzenia. Jak nas informuje: ubranie i ciało starszej kobiety nosiło ślady podpalenia. Wnosząc po wyglądzie zwłok, najprawdopodobniej ogień objął większą część powierzchni ciała. Nadal nie wiadomo, w jaki sposób znalazło się ono w wodzie oraz co tak naprawdę się wydarzyło. Policja, dla dobra śledztwa, odmawia wszelkich wyjaśnień. Do sprawy jeszcze wrócimy.

A teraz pogoda. Po nagłym ataku zimy pierwszy dzień wiosny przywitał nas słoneczną i ciepłą aurą. Topniejący śnieg stwarza wiele kłopotów naszym mieszkańcom...

Pan J. uśmiechnął się pod nosem i rozparł się wygodnie na tylnym siedzeniu luksusowego mercedesa. Czy jest czas piękniejszy niż ten, gdy stara, zła zima wreszcie umiera i nadchodzi piękna, młoda wiosna? Gdy ginie to, co słabe, zgniłe, nieprzydatne, a to, co silne, wartościowe – wzrasta i się rozwija? Cudownie być Panem Jaryłą. Cholernie wiosennie cudownie.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

sabre, dodano 12.11.2020 15:03

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.